

607a.

ŻAGIEW

ORGAN TOWARZYSTWA KULTURY ARTYSTYCZNEJ W ŻYWCU.

Adres Redakcji i Administracji: Żywiec, ul. Kraszewskiego 434.

JAGOSZ WŁODZIMIEZ (Warszawa).

Reportaż z przed trzystu lat.

— Krwawe błyskawice neonów, smugi reflektorów lśniących limuzyn, przeraźliwy jazgot syren, niecierpliwy brzęk dzwonek tramwajowych i zgrzyt hamulców — oto przedziwna symfonia światła i tonów pulsującej życiem stolicy.

— Nagle, z kilkudziesięciu punktów, zrywa się okrzyk ostry, urywany, potężnie z każdą chwilą, wrzyna się w uszy, bije o mury kamienic, miesza się z gwarem rozmów, wgrzyza się w rytm ulicy:

— Nadzwyczajny dodatek...! Nadzwyczajny doda...!

— Migają na asfalcie gołe pięty chłopców; — czujny dreszcz oczekiwania wstrząsa mózgiem tłumu.

— Nadzwyczajny dodatek! Migają płachty papieru, — lecą wichrem, wieść niosąc...!

— Ulica słucha!

Roku Pańskiego 1499.

— Na Kazimierzu w Krakowie, między Żydy, urodził się cielec ze dwiema głowami, jedna była na tyle, a druga na przodku, a ogon we środku grzbietu był, nóg miał siedmioro na prawym boku, a na lewym żadnej; inne członki miał spełna. — Długo na dziwy ludziom leżał“.

Roku Pańskiego 1595.

— „Barbara Opiolunka z Lipowej była w podejrzeniu od gromady i sołtysa, że psuje bydło i odejmuje pożytki, za co ją wygnano. A ta przed mękami i po mękach do niczego się nie przyznała i z tym umarła“.

Roku Pańskiego 1624.

— „Michał Grudko, miejski synek żywiecki, w Żywcu przez Sąd skazan, zginął. — Ze rodziców swoich nie słuchał i na złość im wszystko robił, a kradzież się bawił, za co był w kościele Św. Krzyża przy parkanie pod Bożą Męką kamienną ścięt i tam pogrzebion. Rodzice na pamiątkę krzyż kazali na grobie postawić kamienny“.

Roku Pańskiego 1628.

— „Opryszka Burego, żywczańskie z siedmiu rozbójników w Radziechowach złapili, na tratwę wsadzili i do Żywca przywieźli. Tu Burego na haku zawieszono — a gdy go ciągniono wołał: „wio Bury do góry“ i inne dowcipy czynił“.

Roku Pańskiego 1635.

— „Imć Pan Warszycki na Łodygowicach trzy kołki u dworca swego dla koni wierzchowych umieścił; dla szlacheckiego, miejskiego i chłopskiego — a jeśliby któryen chłop albo mieszczan, nieświadom rzeczy, omylił i u niewłaściwego kołka rumaka uwiązał, tedy brał lanie ku wielkiej uciesze Pana i pacholków jego.

— Takoz student każdy o Łodygowice zawadziwszy, musiał się z umiejętności swoich wykazać, łaciną popisać i przedstawić przybory rzemiosła swego: scyzoryk, pióro i kałamarz.

— A spotkawszy raz akademika krakowskiego i dowiedziawszy się, że poświęca się nauce astronomji, zapytał, co się obraca — czy słońce, czy ziemia? — gdy uczony młodzian odparł, że ziemia, o mało nie został obity i przytomnością jeno umysłu wywinął się mówiąc: *Wszak Jozue kazał słońcu stanąć, to też od tego czasu słońce stoi, a ziemia się obraca — chyba że Jaśnie Wielmożny Pan inaczej każe*“.

Roku Pańskiego 1672.

— „Obraz Salvatora u Św. Krzyża wymalował misternie Fabian Sobinowic, malarz żywiecki, młodzianem do lat 70, aż do śmierci, zostający“.

Roku Pańskiego 1684.

— „Wojciech Stokłosa z Zabłocia — krawczyk — zginął, będąc u kościoła Św. Krzyża ścięty, pod Bożą Męką — o kradzież koni. Tedy, gdy go miał kat ścinać, panna jedna z Białej, jako do młodzieńca przyskoczywszy, podwiką mu szyję okręciła, a ręką obłapiła, iż się nijakim sposobem кату oderwać nie dała, zwiódłszy go daleko z placu, chcąc go wyzwolić. ... Hajducy z zamku dwaj przybiegłszy, zaledwie ją od niego oderwali — i był ścięty“.

Roku Pańskiego 1704.

— Imć Pan Andrzej Komoniecki, wówczas wójt sławetnego miasta Żywca, siedzi na zydłu — przy sosnowym stole — i duma.

— Przez rozwarte okna pada promień zachodzącego słońca na marsową twarz i stos pożółkłych pergaminów.

— Ma o czem dumać sławetny dziejopis! — Uwiecznia oto wprawmem piórem to wszystko, na co własnemi patrzył oczyma, co w księgach cechowych zapisane i co jegomość Jędrzej Kozak, pleban, przed nim w dwa wieki opisał i w puściznie ostawił.

— Niech wiedzą wnuki i prawnuki z jakiego gniazda zacnego się wiodą, jak to ojcowie zawdy wiernie trwali przy znaku przejasej Rzeczypospolitej, tocząc krew w potrzebie, jak bronić umieli praw swych, czci swojej i świętej polskiej ziemy.

— Duma Komoniecki, sławetny wójt żywiecki...

— Wieczór nadchodzi majowy, z wieży kościelnej płyną wdzięczne pienia ku czci Panny Przechystej.

— Świeżo utemperowane pióro, w inkauscie czarnym maczane, kreśli różaniec znaków w grubej księdze. Czasem mgła rozrzewnienia kładzie się na rysy pisarza, czasem uśmiech rozjaśni siwe oczy.

— Bo oto i rzeczy błahe pisze wójt żywiecki, ale trwać one będą dłużej, niżli krzykliwa wieść — dodatki nadzwyczajne miljonowego miasta.

Roku Pańskiego 1707.

— „Na jarmark żywiecki, na niedzielę pierwszą po Wniebowzięciu P. M.

doktor z Śląska do Żywca przyjechał, przyniósłszy na wielbłądach lekarstwa swoje i obrazy uleczonych ludzi; na rynku umiejętności swoje głosił i lekarstwa przez tłumacza prezentował, przytym zęby bez boleści wielom wyrывał; potym wielbłąda kazał przyprowadzić, z którym sztuki różne przed pospółstwem czynił, także i żółwie żywe miał, czemu się pospółstwo okrutnie dziwowało“.

— Noc już głucha i ciemna nastawała. Stary Komoniecki przy blasku woskowej świecy kreśli różaniec znaków w grubej księdze.

— Niechaj zostanie potomności wieść o tem, co się w Żywcu działo.

Kazimierz Żurek.

Faun.

*Faun siedzi pod drzewem smutny,
bo stracił ozdobę swej twarzy.*

*Spotkał go los okrutny:
złamał róg i o nim marzy.*

W. Murański.

Pogodka ło carodziejskich skrzypkak.

(Gwara ludowa w Juszczynie).

Za downyk, downyk casów zył se na Jeleśni bogaty ksiądz. Krom inyk rzeczy miał łun kielkanoście krów. Nastawa wiosna. — Trzeba było krowy wygnaj na pasionek, a tu nimioł kto, bo ksiądz pasterza se w zimie nie najon — jak to zwyczajnie robiom wsyjscy gazdowie — jeno go kcioł na wiosne najaj; — to tez kozdy gazda padoł mu: „Kto nimioł w zimie lezuska, ten nimo z wiesnom pastuska“ — i służy nie doł. Ksiądz był w labecie. Na scęści spotkoł roz biednego chłopca, co nimioł nic, jeno podarte hadry na sobie i stare skrzypki pod pazuchom.

— Jakoz ci jes, chłopce — spytoł ksiądz.

— Jonek — pado.

— Acha, Jonek! A co ty porobios?

— Ano nic — pado.

— Dobrze, Jonicku, ze nic. Zgodź sie ty do mnie na służbe — bedzies krowy pos. Dostanies se dobre jodło, łubierzes sie lepi, bo widze, że hań z tobom niehersko.

Jonka ta nie trza było dwa razy pytaj. — Zgodził sie zaroz i zacon służyć. Z pocatku sło wsyćko dobrze. Ale w jakisi cos postrzeg ksiądz, że bydło wraco z pasionka łacne i coraz chudse. — Muse jo se tego Jonka przypilnowaj — pomyśłoł.

Na drugi dziej — skoro rano — wygnoł sługa krowy na pasionek. Za nim cichacem skrodoł sie ksiądz. Na pasionku nie rosły zodne drzewa, ani krzoki, była ta (-tam) jeno kroda (-kupa kamieni), zarośniono torniami. Do tyk torni skrył sie ksiądz. Z pocatku wsyćko widzioł w porządku. — Krowy sie pieknie pasły, pasterz pilnowoł.

Juz ksiądz kcioł łodejś, ale zatrzymał sie, bo Jonek przybocył se swoje skrzypki; wyjon ik z pod pazuchy, pozbreńkoł troche, a potem se zaśpiewoł

skocnie :

*Kibyś ty tak kosom kosił,
Jak cie deboł w tońcu nosił,
Kibyś ty tak bił cepami,
Nie chodziłbyś dziś z dziadami.*

Cupnył nogą i zagroł.

Cudne rzeczy łuźrzoł ksiądz. Łoto wsyćkie krowy, jakoby były tresowane — poceny tońcyć tak, jak Jonek groł. A tak pocieśnie podrygowały, tak sie dziwacnie wygibały, ze ksiądz nimóg sie łod śmiechu łutrzymaj i za boki sie broł. Jaze w końcu i jego porwała chętka potońcyć — i niebocejący na to : kto je jes i ka je jes, pocon sie w tyk torniak łobyrtaj.

— A Jonek groł.

Wnet sie pozlatowały wselijaki stworzenia, a wsyćko zasłuchane w Jonkowom muzyke, a wsyćko tońcące. Cały świat łobyrtłoł sie kole niego...

— A łun groł.

— Hej, łumiała graj ta jucha!

Ksiądz sie łobyrtłoł, łobyrtłoł w torniak, jaze se łubrani potargoł, pokolicył sie do krwie i płacący pytoł Jonka, coby graj przestoł.

— Jonek przestoł.

Ksiądz łuciek du domu, a ki sie i Jonek za nim pokozoł — wygnoł go prec i jescé go do sądu zaskarzył za złom służbe.

— Za wezwaniem poseł Jonek do sądu.

Tam sędzia scupkoł na niego butami i kozoł mu godaj prawde, jako to z tom służbom było.

Pasterz łopedzioł, jako to krowy pos, jako se to groł. A ze krowy tońcyły — pado — to coz komu do tego? Niekze sie choj roz łuciesyły, ki miały chęć. A ze sie i ksiądz w torniak wyłobyrtłoł, to nie moja wina — pado — bo jo-ch mu ta wcale nie kozoł wleż.

— Musemy cie łukoraj, rzece sędzia, ale kciołbyk przedtem swyseć, jako ześ to groł. Zagroje!

Jonek do cego — jak do cego, ale do granio był jedyny, chycił skrzypki (a zawse ik przy sobie nosoł), pozbreńkoł, pokręcił, cupnył se kierpcem na ochote i zagroł.

Małomyślący sędzia skocył z księdzem do łobyrtki. I kto ta ka zywnie w sądzie był, pocon sie łobyrtaj.

A Jonek groł.

Juz sie doś wyłobyrtali, juz sie i pomęcyl.

A Jonek wse groł i groł.

To sie-ci w tońcu tak pomęcyl, ze sie niejeden wykopyrtnył na ziem; ale ta niedługo lezoł, jeno sie znowu podruwoł, chyboł sie jako móg, a łobyrtłoł zsie. Wreście sędzia pocon bardzo pieknie Jonka pytaj, zeby przestoł graj; zeby se poseł, ka sie mu zdo; ze je jes wolny.

Na to cakoł Jonek; schował skrzypki pod pazuche oi poseł na wéder.

W sądzie zaś wsyjscy długo wypocywali, takigo im łupniadoł.

Wł. St.

UCIECZKA.

(Fragment).

OSOBY:

| | | | |
|----------------|--|----------------|-------------------|
| <i>Rachela</i> | — młoda żydówka | <i>Matka</i> | } rodzice Racheli |
| <i>Leon</i> | — brat Racheli | <i>Ojciec</i> | |
| <i>Aron</i> | — oficjalny i niekochany [narzeczony Racheli] | <i>Dziadek</i> | — rodzic Matki |
| | | <i>Orjan</i> | — młody goj. |

(Pokój Racheli. Noc. Rachel śpi na tapczanie. Wchodzi Matka.)

Matka: Śpisz córko?... Głowa mojej jedynaczki
od Morfeusza bierze pocałunek.
Śpij sobie, Rachel. Niechaj Cię skrzydlate
otoczą roje duchów — Adonisów;
jednego z pośród nich, najbogatszego
wybierz, a goja przeklnij, przekłętęgo.

Rachel (budząc się): To Ty, mateńko?

Matka: Czy śnił Ci się Aron?

Rachel: Nie, śniłam słońce, jak diamentami
skrzyło na trawach porozsypywane...
A na polance leżał ktoś mi drogi,
w rosie tarzając swoje nagie ciało.

Matka: Któż to był?

Rachel: To był człowiek całkiem smagły
od słońca i od tej porannej rosy.

Matka: Jeśli to nie był człowiek obrzezany,
to go przeklinam. Ale mów mi sen twój!

Aron (*wchodzi*): To nie śpisz, Rachel? Nocna już godzina.
Chciałem Cię ujrzeć śpiącą, a ty nie śpisz.

Rachel: Duszno mi. Otwórz, Aron, wszystkie okna!

(Aron otwiera okna.)

Rachel: Co to? Szum słyszę.

Aron! To lipy tak szumią w naszym ogrodzie.

Rachel: I coś głucho dzwoni.

Aron: To są odgłosy uliczne. Posłuchaj...
Tramwaj zazgrzytał — trąbka auta ryczy —
ten przyciszony gwar czynią przechodnie
i Wiatr, co się z drzewami mocije.

Rachel: Jakby wodospad huczał. — Życie ulic
to na kamiennym łożu sen upiorny,
bo ludzie mają dusze jak upiory...
A teraz zegar wieżowy wybija
nocną godzinę. Jedni idą zasnąć,
a drudzy czuwać bezsennie w noc letnią
do osrebrzyny rannej... W rogach ulic
stoją kobiety głodne, handlujące

towarem ciała. One są przeklęte,
bo je głąz przeklął!

Matka: Rachel, ty mi nie cierp
za cudze winy! Świat jest wielką falą,
a tyś jest tylko łupiną orzeszka,
więc musisz trzymać równowagę, słyszysz?
Inaczej można zatonać, czy słyszysz?

Rachel: Straszne syczenie słyszę!

Aron: To Wiatr szumi.

Rachel: Sen mię uleciał i zranił mi serce.
Powiedźcie, czemu echo mego głosu
słyszę, a nawet, czekajcie, i serca?
Taka tu cisza leży grobowcowa
jak jaka mumja, a przecież przed chwilą
szumiały lipy... Cicho! Czy w ogrodzie
niema nikogo?

Matka: Uspokój się dziecko: — —
Zostawmy samą Rachel, niechaj cisza,
co ją przeraża, nie wchodzi do serca...
O, już ją drzemka bierze, wyjdźmy cicho.
Ty Aron, zamknij okna, zostaw jedno,
niech przez nie słodycz wejdzie do jej serca.

*(Aron zamyka okna, jedno zostawia otwarte. Matka wyszła. Aron
kleka obok tapczanu i pragnie dosięgnąć ustami ust Rachel).*

Rachel: Matko, wyprowadź trupa, trup tu kłęczy!
(Aron ucieka. Po chwili z ogrodu przez okno wchodzi Orjan)

Orjan: Rachel, tej nocy musimy uciekać!

Rachel: Orjan! Czy to sen? Nie. Czuję na ustach
wilgotną słodycz. Duszyczko! Lecz cicho,
cichutko przytul mnie, bo tam śpią ludzie,
którzyby naszą spłoszyli pieśczęotę.

Orjan: Teraz!

Rachel: Mów ciszej, bo w trzecim pokoju
śpi Matka z Ojcem, a w drugim śpi Dziadek.

Orjan: Rachelko, teraz uciekniesz rodzicom,
uciekiesz z domu, z ghetta...

Rachel: Biedna Matka
moja. Ach, czy ją mam prawo zabijać
biedną Matkę? Czy mam prawo?

Orjan: Spokojnie.
Takiego prawa niema, więc nie złamiesz.
Matka nie umrze! Cicho się ubieraj,
a ja Ci Twoje przyszykuję rzeczy
do naszej długiej, szczęśliwej wędrówki.

(Rachel ubiera się, Orjan pakuje walizy).

Rachel: O, jestem między kowadłem a młotem.

Orjan: Głos Ci się złamał i drży. Bądź spokojna.
Za małą chwilkę opuścimy wulkan,

„Muzyka“ Nr. 2 (112)/34.

Utrwalmy dorobek pieśniarski żywieczyzny.

Ignacy Paderewski: Myśli, uwagi, refleksje: „Czy Polska jest muzykalna? Lud, włościanie, górale są bardzo muzykalni. Polska obdarzyła świat kilku najważniejszymi rytmami muzycznymi i rytmami tanecznymi: polonezem, mazurem, krakowiakiem, oberkiem. Już to wystarczyłoby, aby uznać geniusz muzyczny Polski“.

Konieczność zbierania pieśni ludowych ze wszystkich okolic Polski była już niejednokrotnie poruszana w czasopismach i dziennikach. Sprawa ta nagli tembardziej, że tzw. „przeboje“, przenikając jako nowinki w najdalsze zakątki wiejskie, wypierają stare, wartościowe motywy.

Słusznie dumni jesteśmy z naszego nieprzebranego skarbcza pieśni ludowych, skoro potwierdzają to między innymi głosy muzykologów niemieckich, podkreślających nieprzeciętną różnorodność i barwność naszych motywów.

Organizując akcję wydania „Pieśni żywieczyzny“ wierzymy, że wszyscy, spokrewnieni duchowo z muzyką, zgłoszą swą współpracę, a zbiorowy, ochotny wysiłek da niezawodnie wyniki, przekraczające najśmielsze oczekiwania.

Zaznaczamy tu odrazu, iż spisywanie pieśni jest rzeczą stosunkowo łatwą, nie wymagającą ani szczególnego talentu, ani też głębszych znajomości muzycznych. Każdy człowiek, przeciętnie muzykalny, może przyczynić się do powodzenia naszego zamierzenia.

Zasady zbierania pieśni są w ogólnym zarysie następujące: Spisać należy wszystkie napotkane świeckie i kościelne pieśni ludowe, a nie tylko melodie „ładne“, nie wolno również omijać pieśni, które zdają nam się „frywolne, czy niemoralne“. Przy każdej pieśni należy zaznaczyć: nazwisko zbieracza, datę, miejscowość, nazwisko, wiek i zawód śpiewającego, oraz o ile możliwości źródło nauczania się n.p. „od innych pastuchów przy paszeniu, od ojców“ i t. d. Melodie i wszystkie zwrotki tekstu należy podawać bardzo wiernie, określając dokładnie szybkość rytmu. (Nie poprawiać prozody, pokrywanie się akcentu muzycznego ze słownym: Kurjer Literacki Nr. 23 z r. 1933, Hybiński Adolf, prof. Dr. „Muzyczne zajęcia na letnich wywczasach“).

Jeżeli zbierający nie może pewnie polegać na swojej umiejętności spisywania melodii według dyktanda, winien skontrolować się jakimś instrumentem, który znaleźć można w każdej wsi.

Mieszkańcom miasta Żywca i najbliższych gmin ułatwimy po-

dawanie znanych pieśni w ten sposób, że po odnośnem zgłoszeniu, skierujemy jednego z naszych współpracowników wprost pod dany adres.

Apelujemy do szerokiego ogółu, a w szczególności do nauczycielstwa, które kosztem niewielkiego wysiłku może przysłużyć się kulturze muzycznej naszego zakątka.

Wszelkie zgłoszenia i zapytania kierować prosimy na adres Redakcji Żagwi.

Hasło: Na urlop, wakacje, obóz i wycieczki z papierem nutowym:
Cześć pieśni!

Lekcyj gry na skrzypcach
udziela uczeń prof. J. Cetnera

Jan Schubert, Żywiec ul. Kościuszki 315.

ZE SCENY.

Legjon Młodych w Żywcu wystawił na scenie „Sokoła“ komedię Barry Coners'a „Roxy“. Główną rolę kreowała p. *Maryla Srokówna*.

Tow. Śpiew. Lutnia w Żywcu, odegrało na tejże scenie zabawkę dramat. Kamińskiego: **Krakowiaczy i Górale**“. Stronę muzyczną sztuki przygotował *prof. p. Jan Marcinek*. —

Zakład fotograficzny i portretowy
E. Siudek w Żywcu ulica Kościuszki

☐☐ wykonuje wszelkie zdjęcia zawodowe
☐☐ i amatorskie po cenach przystępnych.

bo śpiewające ptaszęta nie wiją
gniazd na wulkanie, co wnet ma wybuchnąć...
Chodźmy!

Rachel: O! Czekaj.. Jeszcze im napiszę
słowa pożegnań. (*Rachel pisze*).

Orjan: Czekam Cię. Spiesz, Rachel!

Rachel: Troszkę się boję. Serce jakby listek
trzepoce. Chodźmy. Oni śpią głęboko...
Już uciekajmy!

Orjan (*na parapecie okna*): Przebiliśmy siatkę,
gdy śpią pająki, bezlitośni tkacze.
Niech śpią. Oby się nigdy nie zbudzili!

(*Odeszli... Lipy szumią... Po chwili wchodzi Dziadek*).

Dziadek: Ja Cię nie zbudzę, dziecko, tylko słyszę,
jak Wiatr gałęzie lip łamie i rusza
tak konarami staremi, że chrapią.
Więc sobie myślę, że ci zostawiono
otwarte okna, a chłódek ponocny
mógłby zaszkodzić Ci, kochany pączku.

(*Zamyka okna*).

Nim Ty do Erec pojedziesz, Rachelko,
to jeszcze nieraz będę tak zamykał
otwarte okna... Lecz łóżko jest puste?!
Gdzieżeś Ty poszła?

(*Spostrzegłszy list Racheli, odczytuje go*).

Zgaduję. Uciekłaś
z domu rodziców. Poszłaś z ukochanym.
Błogosławieństwo niech pójdzie za Tobą.

(*Dziadek wychodzi. Cisza. Słychać po chwili krzyk Matki*).

Matka: Przekleństwo, Jahwe, przekleństwo, przekleń-
[stwo!!

Dziadek (*który powraca*):

...A tu mi dziewczę płakało na piersiach. —
Czytajcie, w torze czytajcie: Żydówka,
jeśli pokocha, to niech idzie wszędzie
za ukochanym.

(*wchodzi Ojciec i Leon, brat Racheli*).

Leon: Matce się coś stało!?

(*Matka podaje Leonowi i Ojcu pożegnalną kartkę Racheli*).

Matka: Hańba, zginiemy od tego goimà,
który rodzinę, jak Jerozolimę
przez najkruchliwsze zawojował baszty!

Ojciec: Matka jest wielką basztą, ale starą,
a młoda była jeszcze nieobronna.

Leon: Bijcie mnie! Czemu ja go niezabiłem?!
Byliśmy ślepi. Byłem niewidomy...

Matka: Cała rodzina oślepla przez goja.

Leon: Trzeba się pomścić, Ojcie!

Ojciec : Nie kracz, synu!
Leon : Matko, co czynić?
Matka : To, co Dziadek czyni,
 albo ja, widzisz? Ja się cicho modłę,
 Ja właśnie Rachel przeklełam! Słyszycie?
 Już nie mam córki, Rachel już umarła.
 Trzeba pokutę odprawić po zmarłej.
 Leonie, Synu mój, przynieś kandelabr!
 Tu, w tym pokoju, w tym ciemnym grobowcu,
 zapalę świece i będę przeklinać.

(Leon wychodzi).

O, podłe córki, które tak zdradzają!
 Niechże się takim córkom rodzi potwór,
 który przy ssaniu pogryzie im piersi,
 a gdy dorośnie, to niechaj je zgwałci,
 a gdy już będą stare, niech zabije!!

Ojciec : No, córkę... córkę ukradł goj w istocie,
 ale nie ukradł posagu Racheli.

Matka : Ja wydziedziczam tę przeklętą córkę!

Dziadek ! No, nie przeklinaj małej Sulamity.

Matka (szlochając) O, Jahwe, córka kocha przekłętego!

Dziadek ! Ty nie płacz, dziecko, bo człowiek się rodzi
 na boleść. A ból przystoi człekowi,
 jak śpiew ptakowi. Czekaście... Salomon,
 kiedy się słońce kryło za winnice,
 tak mówił miłej swojej Sulamicie :
 nic tu nowego niema... Słońce zaszło,
 a jemu w oczach zaświeciły perły,
 bo płakał... O ty moja córko, nie płacz!

(Dziadek odchodzi).

Ojciec : Ja idę śladów szukać tych warjatów.

(Ojciec odchodzi).

Leon : Dom opustoszał cały... Mścić się trzeba!!

(Leon wybiega).

Matka : *(łkając)*: Rachelko! Rachel! Rachel!

(Płonie kandelabr i wschodzi słońce).

* *
 *

Marylu,

rumak w galopie roztrąci

ostrza kamienne.

Przelotną błyskawicę niebacznie schwytałem w dłoń.

O, twój koń zarżał w chmur szerniałej szopie

i z górnych okien śle błyski promienne:

biegnijmy doń
 w tabunie uczuć, rwącym wyżej
 w światel radosną ulicę,
 gdzie twój Pegaz kopytem iskry nieci
 i lotnem uchem strzyże.
 (W wątłej dłoni brutalną miałem błyskawicę,
 jak brzytwę dzieci.
 Kiedyś w górze z inną byłem
 strasznie sam,
 dziś wiem, że z tobą jestem.
 Czas przelotną błyskawicę zagnał w złotą sieć...
 O chwila,
 kiedyś w górze byłem z inną
 sam,
 dziś wiem, że z Tobą jestem,
 choć na nią także wołano: Maryla.

Adam M.

Wł. St.

Ludożerstwo.

Otworzyłem deszczowego popołudnia, skrzynię na strychu. Powiało z niej świątobliwą starzyzną. Choć była to niedziela, doznałem wstrząsu, bo jakaś zmurszała książka poczęła mnie przywabiać. Kapała się w oceanie bebeczków. Uśmiechała się nawet jak mumja. Poddałem się jej. Począłem czytać: |

Wycieczki po stokach galicyjskich i węgierskich Tatrów.

Warszawa, nakł. Orgelbranda, 1856. T. I.

Jest to pamiętnik lekarza, dr. T. Tripplina, globetrottera — pieczeniara, który zachwyconym językiem (gąszczowatym, ale wybornym) odmalował epicką bujność życia góralskiego ludu. Jednakże na trakcie Kraków-Harkłowa nad Dunajcem, a potem w nowotarskiej nizinie, będąc naocznym świadkiem nędzy wieśniaków i drobnomieszczaństwa galicyjskiego, po rembrandtowsku rzucił nieco cienia pod światło tatrzańskich opisów i piekło Galicji z r. 1848, odtworzył.

Niewiele jest tych opisów, kreślone wszak były mimochodem, dla lepszego uwydatnienia przebudzonego życia ludu wyżyn. Ale jakże zaciekawiają!

Opowiada więc Tripplin... „Zwiedziwszy najsmutniejsze kąty Europy: Laponiją, Irlandyją, Landy francuskie i Galicyją hiszpańską, wyobrażenia jeszcze nie zdobyłem o takiej nędzy i o takim spustoszeniu, jakie tu napotkałem u niektórych nawet na trakcie leżących miejscowościach. Tu i ówdzie wieśniak był wygłodzonym do tego stopnia, że się w niektórych miejscach istotnie do ludożerstwa uciekał, aby z głodu nie umrzeć; kota na wagę złota w Galicyi nie dostałbyś, wszystkie były zjedzone; a żadnego nigdzie zapasu: powie-działbyś, że szarańcze całego Wschodu popasały tu przez lat kilka. W wio-

skach największa część chałup była spalona, zwalona lub przynajmniej opuszczona; wieśniacy poszli do miast żebrac lub ginac na drogach z głodu. Złowróźbnie spoglądali ludzie na podróżujących, zwłaszcza wieśniacy“... (Str. 9-10). „Grunty orne leżały u górem, chaty były porozwalane, w pokojach niegdyś pięknego dworu jaskółki pozakładały liczne gniazda i mieszkały w nich sowy i nietoperze. O innych mieszkańców nie śmiałem się pytać, lękałem się odpowiedzi... A tu cholera się zbliżała: już zalewała wschodnie cyrkuły“ (str. 44).

Bywalec Tripplin, pyszniący się swoim znawstwem ludzi, z litosnem zdumieniem patrzy na chłopca z podgórskich nizin: „nasz doliniec z przyrody gnuśny, nie lubi się ucierać z trudnościami swego gruntu: woli pójść żebrac, chociażby miał zginac z głodu gdzieś opodal od swej zagrody“ (str. 42). Na innem zaś miejscu wspomina biedną Jagusię, wędzący kwiatusek pustkowie i to swoje pamiętnikarskie wspomnienie kończy charakterystyczną apostrofą: „a ty jeśli nie umrzesz tego lata na tyfus, tej jesieni na cholere, to w przyszłej wiosnie padniesz ofiarą suchot“ (str. 48). Wyraźnie słyszymy nutę humanitaryzmu, która zniewala do czytania tego pamiętnika. Kędyś przy końcu znajdujemy nawet wskazanie winowajców owego zbydłecenia galicyjskiego ludu. Kto winien? Pan polski i lichwiarze — odpowiada pamiętnikarz.

Przedewszystkiem, pan winien, bo on lichwiarstwu wolną uzbroid rękę, feudalny wówczas pan, któremu „moralny sęp wygrzyza i szarpie **intellektualną wątrobę**“, jak obrazowo pisze autor (str. 192). A dr. Tripplin zasługuje na wiarę, bo dużo widział, nawet „dzikie małpy, co igrały z sobą na Ryffach Mogrebu“ i wiele słyszał, wszakże i „ryk lwa na stopach sędziwego Atlasu“ (str. 4). Któżby wąpił? —

Adam Miksz.

Życia.

*Szyja żelbetonem dźwiga kulę myśli,
piorun zygzakiem kreśli oczodoły.*

*(W ciszę mieszkanka mego
gromadkami szły...*

szły...

*strachem pędzone,
ludzkie, robocze-woły.*

*Kulę myśli brak jutra miazdzy kłującym uściskiem,
Życ!*

*(Niewypatrzone oczy jeden wyraz strzelają bezgłośnie
Życia !!*

*Drewnieje dłoń zbiedzona, wzrok błądzi po wszystkim.
Pająk nad obrazem potwornym zdaje się zjarwiskiem,
nieperwność jutra rośnie...*

i rośnie...

Plącze się echo między zębów ścianą...

Sit !!

*(Wyrwać w cierniach ścieżkę niekończącą
Tfu!
Takie życie jest śmiercią, wolno się kończącą...
Zęby pluja pianą...
szczerwieniałą pianą...*

*Łza głos łamie charkotem wyzwolenczej pieśni
i biały człowiek wstaje z jam, cuchnących błotem
i białe dusze na podbój świata wychodzą z oplesnin,
zło kruszyć serc młotem,
serc hartownym młotem.*

Karol Pawełek (Gdynia)

BICZ.

*W zapadłej kajucie,
w bełkotliwym gwarze,
piją rozpacznie, obficie
marynarze.*

*Szklankami pełnemi
z jałowym uśmiechem,
co każe zgrzytać zębami
i pić z zapartym oddechem
Scol!*

*Wpada z nocnej wachty,
potem ogrudlony,*

*cuchnący oliwą
osmolony zbir.*

*„Pij!” krzyczą tamci,
nie idziesz na bicz.
My się dziś żegnamy,
idziemy stąd!*

*Z zakazanej łajby
idziemy na ląd...
Szczery do nas zęby,
natrzęsa się zuchwale
niepewny jutra los...*

Marjan Dębicki.

ŚMIECH.

Nie pójdziesz!!...
Pójdę...

Przypadła do kolan — kurczowo objęła nogi, garnąc się rozpaczliwie w swej straszliwej trwodze o niego, rozlanej po wnętrzu, trzęsącej nią febrycznie. Oszałała z miłości źrenice wiernej suki wbiła w niego z jakąś piorunową mocą.

Nie pójdziesz! — aż się zachłysłęła. Twarz jego skurczyła się wściekłością.

Odejdź! bo... Nerwowa, sucha ręka uniosła się w brutalnej groźbie.

Uderz! Bij mnie! Katuj! Ale nie idź! Nie chodź! Głos jej rozlał się w powietrzu potwornie wysoką gamą dźwięków, przetwarzających jego wolę na jakąś kleistą, gąbczastą masę. Elastyczna ta substancja zdawała się rozłazić jak zmoczony w wodzie gałgan. Hart postanowienia pękał w swych spojeniach pod obuchem tej niesamowicie krzykliwej prośby, na drobne okrucy. Czuł, że jeszcze chwila, a osłabnie, wykończy się zupełnie, że dołączy swój głos do tego krzyku rozrywającego ściany, że zacznie wyć jak wilk i nie pójdzie nigdzie... nie pójdzie... nie pójdzie!

Poczuł dotknięcie warg na ręce i wzdrygnął się, jak obłany wrzątkiem.

Zaczął ją bić z głuchą wściekłością; ogarnęło go sadystyczne upojenie, przechodzące w furję. Mścił się za wszystko — za to, że ją tak kocha i sam jest kochany, choć nie jest prawdopodobnie wart; maskował swoją słabość uderzeniami pięścią w głowę, w plecy, w piersi; pienił się na wspomnienie pocałunku, będącego prawie-że zniewagą. W takt okrutnych razów, z ust jego, wykrzywionych boleśnie, z za zębów, zaciśniętych w szale, z złowrogim błyskaniem oczu, z których leciały przezroczywym sznurem łzy, padały ognistym deszczem na duszę kobiety syczące wyrazy: pójdę! — słyszysz — pójdę! — tworzące stłumiony akompanjament do jej przeciągłego, falsetowego jęku.

Odepchnięta, sponiewierana, z twarzą zsiniaconą, wlokła się za nim, czeplając się kurczowo spodni, chwytając rozpaczliwym opłotem kopiące ją nogi; wargi jej mamały słowa bez związku, czasami zaś rozjaśnił skatowaną twarz dziwny skurcz mięśni, parodja śmiechu. Masochistką była.

Odrzucił ją wreszcie z taką siłą, że głową buchnęła o ścianę, protestującą głuchym odgłosem i legła półprzytomna. On zaś zakrył twarz rękoma i zaczął płakać, z początku cicho, z komicznym drganiem bark, potem rozległo się łkanie i całe ciało poczęło się trząść jak świeża, dobrze jeszcze niezastygła galareta, wreszcie wydarł się z jego piersi taki niehumaniczny ryk, że właściciel głowy, wsuniętej w tej chwili do pokoju, przez lekko uchylone drzwi, miał złudne wrażenie, iż płacz rozwali sufit, zerwie dach i napełni ulicę. — Głowa obleciała pokój rzuconem chyłkiem spojrzeniem i zorientowawszy się w sytuacji, cofnęła się dyskretnie, jako zbędna.

Płaczący mężczyzna uspokoił się nagle — atak minął. Złamany, o rysach starczych, pochylony w plecach, jak po ciężkiej chorobie, podszedł wolnym krokiem, stawiając nogi, jakby były zrobione z waty, do zmaltretowanej kobiety i podniósłszy, przytulił ją do piersi i złożył na sofie; sam usiadł u nóg i z ust dobyła się skarga, pełna rezygnacji: Coś Ty uczyniła? ... Coś Ty uczyniła? ... Co oni powiedzą? ... Rany Boskie! Rany Boskie! ...

W tej chwili uświadomił sobie, że jest przecież ateistą i zamilkł, rażony nonsensem wyrazu: Rany Boskie, w jego ustach.

Zginałbyś! Ty, Ty, mój jedyny, kochanek, mąż, opiekun, mój Bóg... Coby mi zostało? ...

Kobieto, kobieto, twój egoizm mnie przeraża, pęta — czy nie wiesz, że ja tam muszę być, że rewolucja ma wybuchnąć lada chwila! ... Każda chwila jest droga — czekają mnie — ja... ja muszę iść! ...

Kobieta odzyskuje siły. Jednym rzutem ciała zawisa na szyi i przykuwa mężczyznę do miejsca.

Puść mnie! zaskomlał. Ja muszę — słyszysz — muszę — w imię sprawiedliwości, w imię dobra przyszłych pokoleń, w imię społeczeństwa — odejdz!

W odpowiedzi kobieta tuli swą twarz do jego oblicza i rwie zdania na poszczególne wyrazy: to złuda — błaga — patrz — ja jestem — twoja — pieściłeś wczoraj — dzisiaj bijesz — kocham cię — czemu ty nawozem dla przyszłych pokoleń masz ...

Milcz! Nie bluźnij! Oddech ze świstem dobył się z jego piersi. Nie! Ona nie ma racji. Powiedziała: nawóz... nawozem dla przyszłych pokoleń...

Słowo: nawóz — ostrym stylusem wnika w serce. Tak! Ona nie ma racji. Wyczuwa przecież miślność jej argumentów, banał i płyciznę egoistycznego podejścia do sprawy. Jednakże ten nawóz... Naprawdę w sercu ma zimny nóż i stąd to uczucie chłodu. To chyba nie strach... Chłód przenosi

się w okolicę skroni — ach, to tylko dziwnie zimne krople potu...

W tym momencie zdaje sobie sprawę, że postąpił jak cham, jak bydlę, bijąc kobietę: ma uczucie głębokiego niesmaku i uświadamia sobie, że jest chory, taki bardzo słaby... Chyba nie pójdzie... Jest przecież taki chory... Bardzo chory... Tam go zastąpią... Zaraz zatelefonuje... Acha, ona zepsuła telefon, przypomina sobie bladło... To nic — napewno ktoś przyjdzie...

Taki jestem chory, pada półgłównie gorzkie usprawiedliwienie, drapujące twarz kobiety w powagę współczucia, którem kryje radość i triumf. Zwyciężyła.

Zostaniesz!

Kiwa potakująco głową... Chory jestem... Nie dowierza jednakże osobnik, który zjawia się w mieszkaniu, gdyż podchodząc bez zwykłych powitań — bezczelnie, złośliwie, z pewnością człowieka, obnoszącego z godnością ważne sprawy, wzywa mężczyznę do pójścia z nim.

Czekamy na was, druhu — mówi — wszyscy są przygotowani — spażnacie się, nie można się dodzwonić. — Rada Główna Związku Nowoczyńców uważa za stosowne wam...

Nie mogę — jestem chory... Bardzo chory...

Obiegło go całego śliskie spojrzenie, sięgające aż do trzew, przeświatające mózg jak promień Roentgena, następnie skrzyżowało się z wzrokiem nabitym obawą i nienawiścią, wzrokiem kobiety, by stoczyć bój w czasie potrzebnym do poruszenia powieki, cofnąć się i zacząć za parawanem obojętności.

Nic wam nie będzie, druhu — chwilowe wzburzenie — chyba nie strach — śmieje się charkotliwie gość. No, zbierajcie się, idziemy!!

Nie mogę... Ach, ten wstyd, łapiący podstępnie za gardło, łuną krwistą rozlany na twarzy, dający szydlawie znać o sobie pukaniem misternym młoteczkim w skronie... puk... puk... puk..., paskudny, złośliwy, niski wstydzik i strach, powstały nagle na samem dnie jaźni, kosmatym uściskiem obwijający i wypełniający całe ciało... O... teraz przebiega po plecach, drogą wytyczoną kręgosłupem swemi mrówczemi kroczkami... Tam i z powrotem... Tam i z powrotem...

Niema czasu do stracenia, mówi znowu prześladowca. Milicja depta nam po piętach; mogą być aresztowania, o ile natychmiast nie nastąpi wybuch.

Decydujcie się, bo wygląda tak, jakbyście się bali lub... cha! cha! cha! zdradzili... nie pomnąc, że u nas za zdradę, lub niewykonanie rozkazu kula w łeb, co zresztą wiecie doskonale, boście sami forsowali tę uchwałę...

Mężczyzna dostrzega koci ruch ręki gościa, sięgającej do tylnej kieszeni spodni; dostrzega wzrok jego, świdrem wkręcający mu się pod czaszkę i drugi — kobiety, pełen przerażenia i sam blednie z wrażenia. Skręca się z bólu jak szarpnięty rozpalonemi cęgami i równocześnie rodzi się w nim, niewiadomo w jaki sposób poczęty i to w czasie najmniej dla niego odpowiednim, żal do niej... że to przez nią... dla niej... o nią... Nagła inwazja podskakującej we wnętrzu jak piłka wściekłości rozpędza kłujące się ze sobą uczucia i dyktuje zaczepne, pełne prowokacji pytanie:

Co pan mówi o zdradzie??

Ja mówię, żeś pan zbladł... Ja mówię, że pan oczy ode mnie odwraca... Ja mówię, że to jest mocno podejrzone... tak mocno, że mogę ci w pysk plunąć, ty... jeśli nie tchórz, to zdrajco sprawy... prawdopodobnie szpiegu, ty... Suchy plask wymierzonego policzka włacza dalszą serję zatrzymanych na języku obelg z powrotem w gardło...

Gość wyrывa z kieszeni rewolwer...

Krzesełem, spuszczoneym na głowę przeciwnika, pragnie mężczyzna uprzędzić maleńki pocisk, z równie maleńkiej, graniastej lufki browninga. lecz wstrzymuje się na moment, gdyż miga przed nim, zasłaniająca go jasna plama kobiecej sukni... słyszy strzał... przeciągły skowyt, jaki wydaje raniony człowiek jak zwierzę i z odgłosem deski, uderzonej silnie kijem, rozwała przeciwnikowi głowę prowizoryczną maczugą... Naraz przytomnieje... przypada do kobiety, zwiniętej na parkiecie w jakiś fantastyczny zygzak, czy znak zapytania, w jaki potrafi jedynie śmierć ułożyć ciało ludzkie... Jednym rzutem oka ogarnia drgające zwłoki pokonanego przyjaciela i wroga. Nagle przychodzi straszna świadomość, biczem trwogi gnająca go do drzwi... Nie! Wraca... Znów ucieka... kroki kieruje w stronę okna... Czy przez okno?... Patrzy w niebo... co to... śmieje się!... Tak!... Śmieje się!!...

Mężczyzna śmieje się. Ręce obie złożył na brzuchu i pochyła się raz po raz, jakby się kłaniał; przysiadła w spazmach śmiechu, który spływa gardłową kaskadą z szeroko otwartych, spienionych ust, przechodzi stopniowo w dyszkant, potem w chichot, następnie w jakiś przeanormalny pisk. Tak może śmieje się, napełniając piekło, sam wszystko-wiedzący Lucyfer, kiedy jest zadowolony ze siebie. Pisk ten kłuje niby igła, wżera się we wszystko, wciska się wszędzie — wszystko wokół stało się piskliwym śmiechem — śmieje się pokój — dwa zakrwawione trupy, cały dom, ulica, miasto, cały świat, wszystko... wszystko... Obłoki rozsunęły się, rozdarły na strzępy i słońce rzuciło na upiorną maskę człowieczą żółtą poświatę; pocałował go promień, muskając naprawdę szczerym uśmiechem rozwarte usta; pogłaskał go, jak matka głaszcze dziecko, by go uspokoić, gdy sobie stłucze kolano. Słońce jednak traktuje, nie zna różnic... no i słusznie... Także pretensje...

Dzienniki w głównym swym artykule rozspisywały się szeroko o stłumieniu w zarodku rewolty partji parjasów, zwanych Nowoczyńcami i aresztowaniu wszystkich jej przywódców. O jednym z nich taką wzmiankę uczyniły:

„Tragedja w mieszkaniu przywódcy Nowoczyńców“.

Gdy milicja wkroczyła do siedziby Nowoczyńców, zastała tam wszystkich przywódców, których z miejsca aresztowała. Nie zastała jedynie przywódcę Zygmunta Baroli oraz Roberta Koseka. Natychmiast udała się do ich mieszkania. Gdy weszła do mieszkania Baroli, straszny widok uderzył oczy wywiadowców milicyjnych. Na podłodze walały się trupy mężczyzny, z rozwaloną straszliwie głową, którym, po zbadaniu, okazał się Robert Kosek, oraz narzeczona Baroli, która zginęła od kuli rewolwerowej. W pokoju znajdował się również Barola, który przywitał milicję śmiechem i małpiemi minami. Barolę, obłąkanego prawdopodobnie pod wpływem wieści o udaremnieniu puczu, odstawiono do szpitala dla obłąkanych. Zwłoki ofiar szaleńca oddano władzom sądowym, celem dokonania sekcji.“

KONKURS.

Najudatniejszą odpowiedź na pytanie:

jakim chcę widzieć Żywiec?

wydrukujemy w następnym numerze „Żagwi“.

ADRES REDAKCJI.

Kto chce zdrowym
być, niech pije:

Porter żywiecki

Kto chce długo
żyć, niech pije:

Zdrój żywiecki

z Arcyksiążęcego Browaru w Żywcu.

Przedsiębiorstwo Elektrotechniczne

JAN ZUZIAK

Żywiec, ul. Kościuszki 382



Poleca: materiały
elektrotechniczne
aparaty radjowe, ro-
wery i uskuteczni
wszelkie reperacje.



Ceny przystępne!!!

Jan Drohomirecki, Żywiec

ulica Kościuszki L. 332.

HANDEL TOWARÓW KOLONJALNYCH.

Naczynia emaljowane i porcelana.

Sprzedaż spirytusu lecznicze-
go i skażonego, wódek mo-
nopolowych i gatunkowych,
rumu, koniaku, win krajowych
i zagranicznych.

Wielki wybór kawy i herbaty.

Cukry, czekolady.
Herbatniki i kakao.

TUTKI SOLALI ELDORADO



200 sztuk 45 gr.

Do nabycia
we wszystkich sklepach tytoniowych.

✚ DROGUERJA TADEUSZ PUCIŃSKI, ŻYWIEC ✚

Juljan Rybarski

Zakład ślusarski
w Żywcu, ul. Kościuszki Tel. 102.

zawiadania uprzejmie P. T. Publiczność
o otwarciu przy ulicy Kościuszki Nr. 326

Handlu towarów żelaznych i technicz.

Poleca okucia budowlane, nity, śruby,
pompy, szczeliwa, asbest, klingeryt, gu-
mę, fiber i t. p. — Jako specjalność

okucia do pieców kuchennych

własnej produkcji po cenach konkuren.
Również polecam nadal wszelkie robo-
ty ślusarskie, naprawy pomp, maszyn,
spawanie żelaza i metali. Ceny niskie!

DOM HANDLOWY
R. KAISER
Żywiec ul. Kościuszki

poleca wszelkie towary kolonialne,
mąki, zboża, produkta nafto-
we, oleje i akcesorja samocho-
dowe, węgiel kamienny i drzewny,
drzewo opałowe oraz materiały
budowlane.

Składy konsygnacyjne
Państwowych Fabryk
Związków Azotowych
Mościce i Chorzów.

Sprzedaż hurtowna i detaliczna!

Wydawca: **Władysław Studencki.**

Redaktor odpowiedzialny **Marjan Dębicki.**

Odbito w drukarni R. Hoffmanna Żywiec-Isep 52.